

W kraju palm i słońca – 3

22 października 2022

Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

Miasto Murzynów

Do portu Bahii ze względu na spóźnioną porę nie wpuszczono nas tej nocy; dopiero rankiem w niedzielę stanęliśmy przed miastem. I w tej chwili obkoczyły nas łodzie przekupniów z ptakami, owocami, papierosami i różnymi łakociami, a prawie wszyscy Murzyni ze zręcznością zadziwiającą wdrapywali się po sznurach na pokład.

Wśród nawoływań, zachwalań towaru, gwaru rozmów odezwały się przerażone piski i płacze kobiet i dzieci emigrantów na widok czarnych postaci, kędzierzawych czupryn, białych zębów i lśniących białek oczu. Matki i ojcowie uprowadzali przerażone dzieci, chroniąc je pod pokładem, jednak po chwili przemogła ciekawość i rozpoczął się dość ożywiony targ owoców i przysmaków brazylijskich; zwłaszcza pomarańcze, dziesięć sztuk za trzy kopiejki, miały odbyć wielki.

Samo miasto składa się z dwóch części, połączonych ze sobą windą elektryczną. Dolna część, pełna biur, sklepów i składów, bardzo ożywiona, jest miastem portowym i handlowym, niezdrowym i brudnym, a w górze, na wyniosłej płaszczyźnie, rozciąga się właściwa Bahia z mnóstwem kościołów, klasztorów, z budynkami rządowymi i dość okazałymi, choć jaskrawymi, mieszkaniami prywatnymi.

W dolnym mieście uliczki bardzo wąskie, zaledwie wozom dostępne, zabudowane z obu stron kilkupiętrowymi kamienicami, nie tyle z braku lub drożyzny placów budowlanych, ile raczej dla cienia, co istotnie mieszkańcy osiągają, cierpiąc natomiast brak przewiewu i czystego powietrza.

Górne miasto, przestronne, z placami, z ulicami szerokimi, z kamienicami jaskrawo malowanymi, mogłoby przypominać Europę, gdyby nie tłumy Murzynów, snujących się po ulicach. Z 300 000 mieszkańców ma być 240 000 Murzynów w mieście, liczącym przeszło sześćdziesiąt kościołów. Czym Kraków dla Polaków, Moskwa dla Rosjan, tym Bahia, urządowo San Salwator zwana, dla Brazylii. „Pan Bóg mieszka w Bahii”, mówią z dumą Murzyni, ciesząc się arcybiskupem, kościołami i klasztorami.

W kościele odmienne zachowanie się pobożnych aniżeli u nas. Wystrojone jaskrawo, i zawsze jaskrawo, Murzynki, rozmawiają dość swobodnie, śmieją się, witają, żegnają, a kiedy niekiedy zwracają swe czarnoaksamitne oczy na jaskrawo ubrany posążek świętej lub świętego, wzdychają i modlą się. Przez drzwi otwarte słycać żarty, śmiechy, nawoływania stojących przed kościołem; często wpadnie pies, przez nikogo niewypędzany, lub przefrunie wielki owad, motyl, budząc głośne zaciekawienie małych Murzynków. I wśród tego gwaru towarzyskiego ksiądz przy ołtarzu odprawia Mszę Świętą, a poniżej stopni ołtarza klęczą z każdej strony po dwa żywe czarne aniołki, dziewczynki, ubrane w białe muślinowe sukienki, z przyprawionymi u ramion skrzydłami gęsimi czy czaplami. Dziewczynki mają przywilej iść w czasie procesji tuż przed monstrancją i rzucać kwiaty. Przy każdym dzwonku ministranta obecni nasłuchują odgłosu puszczanych rakiet (portugalskie foguete), niecierpliwiąc się głośno w razie opóźnienia. Owe bardzo częste rakiety i wesoła muzyka organów, grających w przerwach tańce i melodie operetkowe, stanowi bodaj jeden z najgłówniejszych czynników ściągających wiernych do kościoła. Ten sam rodzaj nabożeństwa, z mniejszą lub większą okazałością, powtarza się, naturalnie już z białymi aniołkami, i w innych miastach brazylijskich, ku wielkiemu zgorszeniu naszych emigrantów.

– Jakie to u nich nabożeństwo! Psom chodzić, nie katolikom! – mówią z oburzeniem i jest to jedna z przyczyn, że starają się usilnie o własne kościoły, niechętnie uczęszczając do brazylijskich mimo obecności polskiego księdza.

Po koloniach, we własnych kościołach, panuje taki sam rygor, porządek i powaga jak u nas w kraju i twierdzą, że dopiero u siebie, tj. w swoim kościele, człowiek pomodli się porządnie i należycie.

Patrząc na snujący się tłum – Murzynki starsze i młodsze w żółtych, czerwonych, białych, niebieskich sukniach, a Murzyni w jasnych ubraniach – doznaje się wrażenia, że ktoś dla żartu przebrał ich jaskrawo, by uwydatnić czarność ich twarzy i brzydotę ciała, a jest to tylko ślepe naśladownictwo dawnych ich panów. Te kręcone włosy, każdy z osobna, te grube, wywrócone, fioletowate wargi, te nieproporcjonalnie długie ręce, chude nogi, płaskie, wielkie stopy – mimowolnie nasuwają myśl o fizycznej i umysłowej niższości czarnej rasy i ostatecznie można zrozumieć stanowisko Europejczyków wobec nich i niechęć do mieszania się z tą rasą. Ruchy mają szerokie, nieumiarkowane, rozmawiają krzykliwie, śmieją się grubo i byliby bardzo niemili, gdyby nie oczy łagodne dobrego psa, pewna dobroduszość w rysach twarzy i często miły grymas uśmiechu. W cieniu rozkładają na ziemi nakrytej brudną chustką owoce, słodycze, pokrojone ananasy, zachęcając przechodzących do kupna tonem śpiewnym.

Czasem przesunie ulicą Murzynka z dzieciakiem, niosąc na głowie pełny kosz bananów lub pomarańcz, wołając głośno: Acujare! (afrykańskie: dzień dobry), na co odpowiadają inne w tym narzeczu: Acubaba! (idź zdrowo); a w cieniu ledwie okryci żebracy i żebraczki wsuwają przez drzwi, okna swą zewnątrz czarną, na dłoni żółtą rękę, z prośbą o jałmużnę. Ile razy widzi się starszych Murzynów, czy to ubranych z przesadną elegancją, czy też okaleczonych, kulawych, ślepych, mimo woli przypomina się ich krwawa niewola u fazendeiros, przed oczyma stają baty i męczarnie, bo przecież ludźmi wolnymi zostali dopiero przed jedenastu laty, rozporządzeniem z 13 marca 1888 roku, i zapomina się o ich brzydocie, a pamięta o męce.

Liczba podróżnych pierwszej klasy powiększyła się o dwie pasażerki. Jedna z nich – młoda, ładna Angielka, jadąca do

krewnych w San Paulo; druga, starsza, urodzona w Brazylii, misjonarka protestancka. Obie panie cieszą się względami i nadskakiwaniem stęsknionych mężczyzn, ale nikt prawdopodobnie nie miał tak poważnych zamiarów, jak emigrant z Królestwa, spod Pińczowa.

W drugim dniu podróży do Rio de Janeiro prosił mnie, bym się oświadczył w jego imieniu.

– Wszystko mi jedno, Angielka czy Brazylianka, aby kobieta, bo żonatym dają grunt i chałupę.

– Wątpię, czy zechce was która z nich...

– Iii, każdej babie cknę się bez chłopca; abym się umiał rozgadać, już by ona zechciała.

Rio de Janeiro

Dobiliśmy wreszcie na zielone fale pięknej i wielkiej zatoki stolicy państwa, otoczonej półkolem gór skalistych, porośniętych lasem, z których najdziwaczniejszą jest tzw. Głowa Cukru.

Emigranci, z książką p. J. Siemiradzkiego (Opis stanu Parana) w ręku, żądają, abym się porozumiał z urzędnikami kolonizacyjnymi na Wyspie Kwiatów. Pytam celników brazylijskich – nie wiedzą o żadnej kolonizacji, ale emigranci są uparci i nalegają: wszak tu idzie o grunt na spłatę i czynną pomoc rządu! Wskazuję dyplomatycznie sformułowany przypisek o ustaniu bezpłatnego przewozu emigrantów, a oni odpowiadają:

– Nam nie idzie o przewóz, lecz o ziemię.

Na Wyspie Kwiatów (Ilha dos Flores), niegdyś targowisku niewolników, zapytany urzędnik oświadcza, iż od roku 1895 rząd zrzekł się kolonizacji; tę samą odpowiedź otrzymałem w wydziale ministerium, a jednak książka jest z r. 1896.

Emigrantom żal ziemi, zapomogi, no i smacznego pożywienia, zachwalanego przez ową książkę, pozostaje im jednak zaczerpnięta z niej nadzieja, iż rząd stanu Parana przyjmie ich gościnnie, że agent będzie ich oczekiwał w porcie Paranagua, zawiezie bezpłatnie do Kurytyby, a urzędnik odda im upragnioną ziemię z lasem.

Sześć dni należało czekać na parowiec „Itapacy”, mający nas zawieźć do Paranagua.

Punktem środkowym miasta Rio jest dzielnica przy porcie, gęsto zabudowana, hałaśliwa, rojąca się ludźmi różnych zabarwień, przesiąknięta wstrętnymi wyziewami, a byłaby jeszcze brudniejsza, gdyby nie pocziwe, choć brzydkie urubu, spełniające bezpłatnie urząd czyścicieli ulic.

Jest to gatunek zwyrodniałego sępa; czarny, bez połysku, większy od kruka, z lekko zagiętym dziobem, na żółtawych nogach, płacze się wśród ludzi, ulic, bezpieczny, leniwy, bo za zabicie płaci się karę pięciu milrejsów, a pełno go nie tylko w Rio, lecz we wszystkich miastach Brazylii.

Ta część miasta, zamknięta górami niedozwalającymi na przewiew, jest stałym siedliskiem febry żółtej, ospy czarnej i innych chorób epidemicznych, toteż zamożniejsi przemysłowcy i kupcy tu mają tylko swe biura i sklepy, otwarte mniej więcej od dziesiątej rano do trzeciej popołudniu, a sami mieszkają w innych, zdrowszych dzielnicach. To unikanie skupienia mieszkańców, zwłaszcza obowiązujący w Brazylii zwyczaj budowania domów w ten sposób, iż każdy współmieszkaniec ma oddzielny wchód, schody, ganek, w ogóle, iż całe mieszkanie nie ma żadnej łączności z sąsiednimi, jest przyczyną, że Rio wydaje się bardzo wielkim miastem, nieproporcjonalnie dużym na 800 000 ludności.

Mieszkańcy wielkich miast posiadają pewne odrębne cechy, które nowo przybyłych uderzają na samym wstępie: gorączka paryżan, zarozumiałość i systematyczność berlińczyków, dobroduszn

wesołość i swoboda wiedeńczyków, uprzejmość i powierzchowna elegancja warszawiaków, a w Rio chyba najważniejszą cechą jest lenistwo. Tragarz, dorożkarz, przekupień, urzędnicy w biurach ruszają się ociężale, z wolna, z drażniącą ospałością; cukiernie, piwiarnie, kawiarnie są przepełnione o każdej porze ludźmi przesiadującymi bez celu i interesu; na ulicach najruchliwszych i najbardziej eleganckich, jak rua d'Ouvidor, Primoiro Março, tłumy pań, panów, idących ospale, przystających co chwila przed wystawami, a z każdej twarzy, ruchu wygląda zmęczenie i lenistwo. Czas, godzina, termin zdaje się nie istnieją tutaj; są tylko chwilowe porywy, rodzaj ognia słomianego.

Oto w kawiarni przy stoliku siedzi kilka osób; nagle jeden zrywa się z krzesła, mówi szybko, z zapałem, z ruchami aktora prowincjonalnego, a po chwili siada spokojnie, z twarzą apatyczną, z widocznym zmęczeniem. Odegrał swoją rolę: powiedział kupę patetycznych frazesów i skończył karierę. Jednak ożywiają się Brazylijczycy, chociaż na krótko, np. w teatrze, na widok tańca machicho, bardzo lubieżnego, i przy walce byków, niegrożącej śmiercią, bo końce rogów są ścięte, opatrzone poduszczkami, i byka nie zabijają.

Na placach, w cieniu pysznych drzew figowych i wspaniałych akacji, kwitnie wśród uboższych gra w karty, w kosze szczęścia, w loteryjki; po restauracjach, piwiarniach, kawiarniach stoją na stoliku kupki skórzane z kośćmi do gry. W każdym miejscu chłopcy i mężczyźni ofiarują natrętnie bilety loteryjne. Grają wszyscy w nadziei zabezpieczenia sobie bytu bez pracy, gdyż im uboższy, lichszy, marniejszy człowiek, tym chętniej liczy na przypadek szczęśliwy, wygrane, odziedziczenie; jest to rodzaj popędu samozachowawczego, objawiającego się w postaci gry, który umiejętnie bywa wyzyskiwany przez państwa słabe, ubogie i nieudolne.

Przez czas mego pobytu nie tylko w Rio, lecz w Brazylii, nie zdarzyło mi się widzieć wśród Brazylijczyków twarzy wesołej, energicznej, tryskającej życiem, nawet u dzieci. Wszystkie

zmęczone, ospałe, żółtawe; rysy są jednak delikatne, ładne, oczy przeważnie piękne, choć bez wyrazu, i ubiór staranny. Ręce małe, nerwowe, z niesmacznym przeładowaniem pierścionkami, i nadzwyczajna staranność o zęby, jak mi mówił dentysta, przeważnie sztuczne, którym nadają przez plombę złotą pozory prawdziwych.

A kobiety?

Włosy i oczy prawie zawsze piękne, rysy filigranowe, postać szczupła; wielkie zamiłowanie do błyskotek i ostrych barw, świecące kolczyki, błyskotliwe broszki, łańcuszki, bransolety i pierścionki; tak chodzą po ulicach, w teatrach, na koncertach, a przede wszystkim od rana do nocy przesiadują w oknach, które posiadają w tym celu specjalną barierkę, rodzaj poręczy, pozwalającej opierać się wygodnie wyglądającym przez okno.

Z wyjątkiem Europejek i arystokracji brazylijskiej, kobiety chodzą bez kapeluszków, zwyczaj usprawiedliwiony temperaturą; i może też z powodu gorąca – panie i panny stroją w domu tylko głowy i popiersia, okrywając resztę ciała nie zawsze czystą spódnicą białą lub kolorową i przyszedłszy z wizytą, trzeba czekać co najmniej kwadrans na zjawienie się pań.

Wszyscy też bez wyjątku Europejczycy zarzekają się żenienia z Brazylijkami, są bowiem, ich zdaniem, zawadą, nieporządkiem i kosztem w życiu rodzinnym.

Pięknej kobiety nie widziałem ani jednej, ponętnych dużo i może to było moim chwilowym usposobieniem, jakkolwiek dużo Europejczyków jest tego samego zdania, że w Brazylijce prawie nie można odszukać równego sobie człowieka, tylko rodzaj zabawki, coś podniecającego chwilowo i na chwilę. Być może, iż wczesna dojrzałość i wczesne zamążpójście są przyczyną tego niskiego poziomu umysłowego, gdyż zazwyczaj w piętnastym roku wychodzą za mąż. Jeden z Brazylijczyków, wprowadzając mnie do swych znajomych, uznał za stosowne uprzedzić:

- Może zastaniemy kilka panien.
- Czy córki?
- O nie, p. X. ma tylko jedną, już w latach... stara panna...
- Tak?... On wygląda jednak młodo...
- A córka ma już dziewiętnaście lat – przerwał ze śmiechem – już przekwita, zobaczy pan sam.

Widziałem też później mężatki i matki tak młode, że aż litość brała, gdy się na nie patrzyło, i łatwo się domyślić, jak takie dzieci wychowują swe dzieciaki, a w Brazylii można liczyć tylko na wychowanie domowe, bo szkoły publiczne są liche, bardzo liche.

Moi nowi znajomi brazylijscy odprowadzili mnie do portu, żegnając się ze mną na swój sposób. Po lekkim uściśnieniu ręki przysuwają się szybko korpusem i ręką prawą klepią po lewej łopatce. Nie jest to ani miłe, ani przyjemne, zwłaszcza, że im silniejszy objaw uczucia, tym silniejsza klapanina łopatki i przyciskanie korpusem.

Brudny statek brazylijski „Itapacy” był przepełniony nie tylko emigrantami III klasy, ale także liczne towarzystwo Brazylijczyków z Rio Grande do Sul wracało po jakimś głośnym procesie do domu, z żonami i dziećmi.

Naturalnie zamiast o godz. drugiej, wyjechaliśmy zaledwie o piątej, a w małej kajucie dostałem jako towarzysza księdza Anzelma z Ameryki Północnej. Szczupły, niski, przeszło lat 50, szpakowaty blondyn z piwnymi, dobrymi oczyma, w czarnej, lustrynowej marynarce; gdyby nie obojczyk księzowski, z trudnością można by w nim widzieć księdza: mógł być tak dobrze aktorem, nauczycielem, organistą...

Równocześnie przedstawił mi swego towarzysza, pana Z., człowieka młodego, z twarzą zniszczoną, zmęczoną, płaską, chytrze uśmiechniętą; zwłaszcza miał chód charakterystyczny,

cichy, skradający się, trwożliwy. Usłyszawszy znane mi nazwisko, zapytałem, czy pochodzi z Królestwa.

– Proszę pana – odparł słodkawo – w Ameryce nie pyta się o nazwisko i krewnych.

Dobry ksiądz Anzelm z niewzruszoną łagodnością wziął mnie w bardzo troskliwą opiekę i z miejsca ofiarował mi proszki, pigułki, ziółka, wszystko bardzo skuteczne i bardzo cudowne.

Nie widziałem człowieka, który by z równą słodyczą i powagą prawił tyle rzeczy od rzeczy i tyle do rzeczy.

Z łagodnym uśmiechem, patrząc na mnie pocziwymi oczyma, mówi słodko po zachodzie słońca:

– Chodźmy, panie do kajuty (nb. brudnej, ciasnej, dusznej), tu niebezpiecznie, można dostać febry.

– Dziękuję, zostanę na pokładzie.

– A to weź pan chininy; oto kapsułka, zaopatrzyłem się w Bostonie.

– Dziękuję, czuję się zdrów.

– Nie należy tak mówić, życie i zdrowie w ręku Boskim, nie nadużywaj Opatrzności... weź pan... tylko połknąć i pomoże.

– Dziękuję, nie lubię lekarstw... Czy widzi ksiądz tę śliczną fosforescencję?

– Gdzie? – pyta prawie z przerażeniem.

– Za śrubą parowca.

– Chodźmy już, chodźmy – nalega tonem prośby – to właśnie najniebezpieczniejsza chwila – i połyka pigułkę.

– Dlaczego?

– Bo pan nie wie, ale mówił mi stary kapitan w New Yorku, że

śruba okrętowa dobywa czasem z dna fosfor i on tak świeci... a nie trzeba chyba panu mówić, że fosfor to trucizna... chodźmy już...

– Zostanę.

– Ja nie mogę – i z westchnieniem współczucia opuszcza mnie.

Na drugi dzień mówię:

– Jednak jakie są zielone fale Atlantyku przy brzegach Brazylii.

– To dobrze, bardzo dobrze – odpowiada, nachylając się nad barierą.

– Dlaczego?

– To i tego pan nie wie?!... Fala morska dlatego jest niebieska, że w niej jest rozpuszczony lapis lazuli, no a ten to trucizna.

Bywały też rozprawy filologiczne, np. że litera „i” należy do spółgłosek.

– Ale dlaczego?

– Zaraz wytłumaczę – odpowiada z właściwą sobie łagodnością i powagą. – Wszystkie inne samogłoski: „a”, „e”, „o”, „u”, „y”, wymawiamy bez pomocy języka, a literę „i”... – tu otworzył usta i pokazał wymawianie: – ruszyłem językiem, a więc „i” jest spółgłoską.

Czasem zagłębialiśmy się w teologiczne subtelności, np. jak pogodzić nieskończone miłosierdzie Pana Boga ze sprawiedliwością...

Słuchając go, zrozumiałem, że M. Twain nie przesadza w opisach Amerykanów; już jak się trafi oryginał, to najczystszej wody.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki

Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”,
Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków

Źródło internetowe: WolneLektury.pl

Licencja: [CC BY-SA 4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)